



HENRYK ŁUSIEWICZ

ur. 1929; Biała Podlaska

Tytuł fragmentu relacji	Dom rodzinny na ulicy Bernardyńskiej
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	rodzina, dom rodzinny na Bernardyńskiej

Dom rodzinny na ulicy Bernardyńskiej

Urodziłem się w Białej Podlaskiej, 19 stycznia 1929 roku. Jestem syn lotnika, stąd moje urodziny w Białej Podlaskiej, bo Biała Podlaska tak jak Warszawa i Lublin to w tym okresie trzy miejscowości w Polsce gdzie produkowano samoloty. Mój ojciec był kontrolerem technicznym w fabrykach lotniczych. Do Lublina przyjechałem w roku 1934. Akurat w dzień św. Mikołaja. Jako prawie 6-cio letnie dziecko zobaczyłem po raz pierwszy tak wielkie miasto. Dotychczas znałem tylko Brześć nad Bugiem no i swoją malutką Białą Podlaską. W Lublinie uderzyło mnie wiele rzeczy, których dawniej nie widziałem. Po pierwsze – komunikacja w mieście – taksówki, dorożek bardzo dużo jedno i dwukonnych. Był to grudzień, ogromne ilości śniegu na głównych ulicach miasta, usypane w takie kopczyki, które blokowały 2/3 chodników. Z początku nie bardzo zwracałem na to uwagę, ale zauważyłem jakim ten Lublin jest dziwnym miastem. Było tu bardzo dużo nie Polaków, czyli konkretnie Żydów i Ukraińców. Lublin, podobnie jak Lwów miał bardzo wysoką procentowo ilość nie Polaków wśród mieszkańców miasta. Na razie wrócę jeszcze do tych pamiętnych dla mnie spotkań z nowym miastem, czyli do tych pamiętnych dni grudniowych 1934 roku. Wszystko dla mnie było nowe. Nowa była dla mnie taksówka, która nas wiozła z dworca do hotelu europejskiego, nowe było lokum – piękne hotelowe. Ojciec dostał na czas przeniesienia zwrot kosztów i parę dni mieszkaliśmy w hotelu, zanim nie przyjechały nasze meble, i zanim kwaterunek wojskowy nie załatwił dla nas odpowiedniego mieszkania. Pierwsze mieszkanie było nieciekawe – przy ulicy Farbiarskiej 2, na rogu ulicy Misjonarskiej i Farbiarskiej. Mieszkaliśmy tam bardzo krótko. Byliśmy wzięci w dwa ognie – jeden komin ze starego browaru przy ulicy Misjonarskiej, drugi – z browaru przy ulicy Bernardyńskiej, obok pralnia, farbiarnia i łaźnie ogólnomiejskie, wszystko razem spowodowało, że po trzech miesiącach przenieśliśmy się na róg ulicy Zamojskiej i Bernardyńskiej, do dużego, narożnego budynku piętrowego, który złośliwi nazywali fortepianem. Właścicielem budynku był pan Rozgold, który zresztą miał też duży dom na ul. Zamojskiej 12. Mieszkaliśmy tam zaledwie półtora roku, dlatego, że ogromne mieszkanie blisko 150 metrowe okazało się bardzo zimne i po spaleniu chyba 6 ton węgla, rodzice postanowili stamtąd uciec. W tym czasie zaczęła się poważna rozbudowa ulicy Lipowej i po jej południowej stronie graniczącej podwórkami z terenami wystaw koni, zaczęto budować nowe jak na owe czasy bardzo nowoczesne domy mieszkalne i tam żeśmy zamieszkali. Mieszkaliśmy tam półtora roku, bo potem znów się okazało, że uciekliśmy stamtąd tylko dlatego, że było zimno, bo dom był szczytowy. Budynek, który teraz stoi na rogu Lipowej i Skłodowskiej

wtedy jeszcze nie było. Znow żęśmy się szykowali do kolejnej przeprowadzki, do której nie doszło bo wybuchła wojna. Bo okres lat 38 – 39, kiedy czekaliśmy na lepsze mieszkanie, zamieszkaliśmy w nieco gorszym pod numerem ósmym, gdzie był bardzo ciekawy przekrój lokatorski. W domu tym składającym się z wysokich piwnic zamieszkałych, parteru i trzech pięter mieszkało bardzo różne towarzystwo. Pamiętam jak dziś, bo byłem już wtedy dość sporym chłopcem, że w tym domu byli i Polacy i Żydzi i Ukraińcy. Na parterze mieszkał doktor praw – Dawid Waksman. Po drugiej stronie mieszkał lekarz – doktor nauk medycznych, nazywał się Kuczer. W czasie okupacji przyznali się, że są Ukraińcami, nie oddawali radia i w ogóle czuli się tam zupełnie pewnie. Na pierwszym piętrze mieszkał pan Rainholz, z pochodzenia Niemiec, z przekonania gorący Polak, który za swoją postawę wobec współziomków swoich dziadów i pradziadów został surowo ukarany – był aresztowany zaraz na początku wojny. W tymże domu mieszkał jeszcze ktoś z rodu książęcego, emerytowany pułkownik, kilku wysokich urzędników bankowych, ktoś z dyrekcji kolei z Radomia, czyli przekrój był dość interesujący i intelektualnie i narodowościowo. W piwnicach mieszkali ludzie biedniejsi. Sąsiedni dom, dom nr 6 na Skłodowskiej był w całości zajęty przez Ukraińców. Właściciel tego domu nazywał się Kurianiuk, dozorca było Bołdin – także Ukrainiec, zresztą dozorcę spotkaliśmy podczas Wojny w mundurze oficera ukraińskiej policji, jak zobaczył matkę, to przybiegł, pocałował ją w rękę, przypomniał się, zresztą nie trzeba tego było, bośmy go dość dobrze znali. moim rodzicom powodziło się dobrze w okresie międzywojennym. Mój ojciec bardzo dobrze zarabiał. Był lotnikiem, dostawał specjalne dodatki, byliśmy w stanie jeździć na wywczasy, jak to się wtedy mówiło, rodzice zamierzali w roku 1939 późną jesienią kupić samochód. Ojciec mając lat 40 miał odsłużone podwójnie cały okres służby lotniczej i służby w wojnie, zaczął przecież jeszcze w wojsku pruskim - miał od lutego 1940 roku pójść na emeryturę, miał już obiecane posady do wyboru. Na Bernardyńskiej, naprzeciw domu nr 28 była sodówka. W tej sodówce były jabłka i banany. Myśmy w tym okresie jabłek nie jadaliby – jabłka się jadało latem, a jesienią u osób jako tako sytuowanych były pomarańcze, figi, daktyle, to się jadało. Ja do tej sodówki nie mogłem sam chodzić, chyba że poprosiłem mamę, to służąca ze mną przeszła, bo ulica była na ten czas Bernardyńska, dla 6-letniego smyka była pełna niebezpieczeństw. Czasami pozwalano nam chodzić do kina „Gwiazda” Było takie kino w budynku prawie przylegającym do kościoła Bernardynów. Ciągnął on się mniej więcej do połowy następnego domu na Bernardyńskiej, oczywiście tego budynku już od wielu lat nie ma – na tym miejscu stoi taki duży konwikt księży – taki duży, wielopiętrowy, z czerwonej cegły budynek. W moim domu na Bernardyńskiej – u Rozgolda Żydzi nie mieszkali. Myśmy zajmowali całe piętro – to było bardzo duże mieszkanie. Było tylko małe mieszkanie jednoizbowe – to jakaś wdowa mieszkała. Na dole mieszkał wspaniały rzeźbiarz, który na wszystkie uroczystości ubierał się w piękny mundur sokoli, dozorca był legionistą – miał Krzyż Niepodległości, co mu wcale nie przeszkadzało zmiatać podwórka i ulicy przylegającej do domu.

Data i miejsce nagrania	1999-04-15, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"